

Leningrad 41

Sierpień 1941 rok. Kwatera Główna Trzeciej Rzeszy Niemieckiej.

- Mein Fuhrer, w myśl dyrektywy numer dwadzieścia jeden z osiemnastego grudnia 1940 roku, zdobycie Leningradu jest na wyciągnięcie ręki. Feldmarszałek Von Leeb czeka na rozkaz ofensywy.

Fuhrer wstał od biurka, dumnie uniósł głowę, następnie zrobił kilka kroków, skracając dzielący z rozmówcą dystans.

- Nie będzie żadnej ofensywy, żadnych walk – Zmrużył oczy, spoglądając w stronę dużego globusa stojącego w rogu gabinetu.

- Ależ Mein Fuhrer, przecież taki jest nasz cel, należy...

Hitler prężnym krokiem podszedł do globu odzwierciedlającego kulę ziemską, szybkim ruchem dłoni wprowadził go w ruch, tylko po to by po chwili zatrzymać go uderzeniem pięści.

- Chcesz mi mówić, jaki jest cel?

- Nie Mein Fuhrer.

- Chcesz mnie pouczać, co jest dla Niemiec najlepsze?

- Ależ skądże.

- Nasze czołgi przejechały Polskę w trzydzieści sześć dni, Holandię, Belgię, Luksemburg i Francję w czterdzieści dwa dni, doprowadzając do alianckiej rejtury w Dunkierce. Po tym wszystkim, poddajesz w wątpliwość słuszność moich słów?

- Mein Fuhrer, ja tylko chciałem zakomunikować, że Leningrad będący naszym celem strategicznym numer jeden, chociażby z uwagi na stacjonującą flotę Bałtycką, jest na wyciągnięcie ręki.

- Leningrad, tak samo jak Moskwa nie przegra z pociskami, nie przegra z ogniem naszych dzieł. Przegra z głodem – Fuhrer spojrział w stronę zdumionego żołnierza i z widocznym błyskiem w oku kontynuował – Okrążymy miasto, blokując wszelkie dostawy żywności, zmieciemy z powierzchni ziemi, broniącą go piątą armię. A po zrealizowaniu powyższych celów, zaczniemy ofensywę, której celem będzie Moskwa. Rzecz jasna, ta ich dawna, mierna stolica będzie nękana bombardowaniami, niszczącymi magazyny żywności oraz strategiczne obiekty. Bez dostaw skapitulują. Leningradu nie będziemy zdobywać, ponieważ w takim przypadku, to na nas spocznie odpowiedzialność za żywienie. Stalin będzie bronił Leningradu jak twierdzy, taka postawa wymusza, aby traktować miasto i ludność jak obiekt wojskowy. Gdy miasto się podda, nieuzbrojeni zostaną wypuszczeni. Wiosną wejdziemy odprawimy wszystko, co żywe w głąb Rosji lub do niewoli. Nie jesteśmy zainteresowani ratowaniem nawet cząstki ludności. Na koniec,

wszystko zostanie zrównane z ziemią!

- Tak jest Mein Fuhrer!

Adolf wyprostował się podnosząc do góry głowę.

- Trzeba raz na zawsze pozbyć się komunistycznego ścierwa.

Wrzesień 1941r.

Hans spojrzął w błękit nieba. Tylko on odprężał i relaksował zarazem. Uwielbiał latać, czuł się wtedy wolny jak ptak, niczym nieskrępowany, nieograniczony.

Jednostajny warkot silnika bombowca wprawiał w swego rodzaju trans, nastrojał, zagrzewał do walki. Zerknął na błyszczące w słońcu skrzydła samolotu. W takich chwilach był dumny ze swej maszyny. Niczym skrzydlaty anioł Trzeciej Rzeszy, niósł chwałę i cześć, zwiastując zarazem pożogę i śmierć, każdemu, kto zdawał się wątpić w wielkość Niemiec.

Za chwilę zacznie namierzać cel, w mgnieniu oka obracając go w pył.

Rafineria i magazyny żywności Badajewa, są celami priorytetowymi. Leningrad upadnie i on będzie miał w tym udział.

Za kilkanaście minut wszyscy mieszkańcy dawnej dwumilionowej stolicy ZSRR, zrozumieją, że ich los jest przesądzony. Z chirurgiczną precyzją zlokalizował cel. W locie nurkowym zabrzmiały zamontowane na skrzydłach syreny akustyczne. Ich dźwięk budził strach, obezwładniał rykiem, niczym trąby jerychońskie. Kolejno spadające bomby, do których przymocowane kartonowe rurki wzmagały świst, rozbrzmiewały śmiercionośnym dźwiękiem, mającym być zapamiętanym przez wszystkich, poddających w wątpliwość potęgę Trzeciej Rzeszy.

Następstwem serii wybuchów, były wznoszące się w powietrze kłęby czarnego dymu. Języki ognia, zachłannie trawiły wszystko w swym zasięgu, natychmiast przenosząc się na najbliższe z zabudowań.

Hans uśmiechnął się. Nieboskłon nie był już błękitny, w coraz większym stopniu zasłaniany atramentową czernią setek tysięcy litrów palącej się ropy, tracił niepowtarzalny kolor.

Pilot spojrzął przez ramię na skrzydło Junkersa. Niezmiennie lśniło, tak jakby, ku chwale, ku zwycięstwie Tysiącletniej Rzeszy.

Cel zrealizowany, wracam do bazy – wyszeptał, zwiększając pułap maszyny.

Leningrad grudzień 1941r.

Budzi niesamowicie przenikliwe zimno, mimo kilku warstw ubrań, nie sposób go nie czuć.

W znacznej mierze przyzwyczailem się do codziennych nalotów. Być może, dlatego, iż oswajam się w

coraz większym stopniu ze śmiercią, a może obojętnieje? Do końca życia będę pamiętał ryk bombowców i świst lecących bomb. Zaraz po wojnie, powinni zniszczyć wszystkie samoloty, po to, aby ludzkość nigdy już nie musiała słuchać ich przekłętego dźwięku.

Nijak nie mogę jedynie przyzwyczaić się do zimna i głodu.

Zarówno jedno jak i drugie nęka, zmieniając tylko nasilenie. Niesamowite, do czego człowiek może z czasem przywyknąć. Bezpośrednie skutki wojny, my leningradzcy, odczuwamy od kilku miesięcy.

Z dnia na dzień jest coraz gorzej, z minuty na minutę szanse przeżycia maleją. Rozum przegrywa z instynktami. Szczególnie z tym najważniejszym, instynktem przetrwania, zachowania życia za wszelką cenę.

Wszystko sprzysięgło się przeciw nam. Zima, jej siostra minusowa temperatura, Niemcy dbający o udaremnienie wszelkiego zaopatrzenia, Moskwa, która w imię głoszonej propagandy zakazała kapitulacji, nawet Bóg machnął na nas ręką. Jemu akurat się nie dziwię. Stworzył człowieka na swoje podobieństwo, kto chciałby patrzeć na swój upadek.

Podnoszę głowę, kierując wzrok na mamę. Jest z nią bardzo źle, strasznie spuchła, nie może chodzić, cały czas leży. Rozglądam się. Szare ściany, przekrzywiony obrazek, drewniane regały, puste półki. Ciepło domowego ogniska wygasło, skuł je lód.

Nakładem całych sił, dźwigam wycieńczone ciało do pozycji siedzącej, skoro już nie śpię, napalę w piecu. Najgorzej jest wstać, natychmiastowe zawroty głowy, każą ponownie usiąść.

Ostatnio znalazłem na nie sposób. Chwytam ręką stolika i zamykam oczy. Niesamowita jasność, wraz z setkami białych migających punkcików nie trwa długo. Znika, zabierając ze sobą zawroty głowy.

Podchodzę do mamy. Nie chcę jej budzić, chcę się jedynie upewnić czy żyje.

Przykładam ucho do ust najdroższej mi kobiety. Oddech jest ledwo wyczuwalny, żyje, uśmiecham się. Podchodzę do okna, biorę z parapetu dwie książki. Najciszej jak potrafię, wydieram kilka kartek, następnie wrzucam je do pieca, choć trochę niwelując minus trzydziestostopniową temperaturę.

Dwa tygodnie temu odeszli nasi znajomi. Co ja mówię. Nie odeszli, tylko uciekli po kryjomu, jak szczury. Mama tego dnia poszła po chleb, ja po wodę, w tym czasie spakowali wszystko, zostawiając tylko to, czego nie potrafili udźwignąć. Zabrali nasze kartki na kilkudniowy przydział chleba, skurwysyny.

Właśnie w takich sytuacjach, okazuje się, kto jest kim naprawdę. Szuja, jest szuja. Honor albo się ma, albo się go nie ma, honoru nie można stracić.

Na szczęście nie dali rady udźwignąć książek.

Nie zapomnę, jak po przyjściu z wodą, zastałem siedzącą przy ścianie mamę.

- Umrzemy, umrzemy Misza – szeptała.

Wtedy jeszcze chodziła. Podbiegłem do niej – Nie mamo, nie umrzemy, nie możemy, mamy radę, zobaczysz – Przytuliła mnie. Nie wierzyła w ani jedno słowo, widziałem to w jej oczach.

Na dworze świta, nie chcąc beczynnie leżeć, postanawiam pójść po dzienny przydział chleba.

Im wcześniej tym lepiej i tak nie zasnę.

Wychodzę z mieszkania, zamykając drzwi. Czuję na barku czyjąś dłoń, przestraszony odskakuję, potykając się o pierwszy ze stopni schodów.

Przygotowany na zadanie kopnięcia, obserwuję wylaniająca się z mroku postać. Mym oczom ukazuje się kredowo biała zniszczona kobieca twarz z nienaturalnie wydłużonym pożółkłym nosem.

Cały się trzęsę, chwytam z jednej strony poręczy z drugiej strony ściany. Postać powłócząc nogami, zbliża się.

- Gdzie idziesz? – pyta ledwo słyszalnym szeptem.

- Po jedzenie, kim jesteś?

- Siostrą Aleksandry, mieszkam z nią od trzech dni. Przynieś coś do jedzenia.

- Daj kartkę to przyniosę.

- Już ja znam takich jak ty. Sam zjesz i nic nie przyniesiesz.

- Może i zjem, idź sama.

Kobieta odwraca się i powłócząc nogami znika za drzwiami mieszkania naprzeciwko.

Wstaję, wykonując kilka głębokich wdechów.

Wychodzę na zewnątrz, spoglądam na oszpecone budynki ukochanego miasta. Niegdyś piękne, obecnie zniszczone, w znacznej mierze spalone perły architektoniczne, pełnia rolę konstrukcji maskująco - obronnych. Nieodśnieżane ulice pozwalają poruszać się tylko wydeptanymi ścieżkami. Zerkam na zniszczony przez bombę tramwaj, kilkadziesiąt metrów dalej stoją zagrzebane do połowy w śniegu autobusy i trolejbusy. Mijam kilka zgarbionych sylwetek, przemykają niczym zjawy, czarne nocne mary. Czuję się niczym w mieście duchów. Momentami mam wrażenie jakbym uczestniczy w swego rodzaju, makabrycznym przedstawieniu. Innym razem, wydają się, że za rogiem są drzwi pozwalające wyjść, tak jakby Leningrad był piekielną salą tortur. Nie ma sali, nie ma drzwi, jest piekło.

Wychodzę zza rogu bloku, potykając się o leżące ciało. Ledwo utrzymuję równowagę. Odwracam się, widzę rozciągnięte odziane w łachmany zwłoki, ktoś zabrał szalik, czapkę i chustę. Kredowo biała twarz z rozwartymi ustami, nie robi na mnie wrażenia. Odkąd na moich oczach zabito tatę, nic mnie nie wzrusza. Parę metrów dalej, wsparte o rynnę, sterczą kolejne zwłoki, następne, skurczone w pozycji siedzącej tkwią na schodach.

Gdybym miał wczuwać się w tragedię każdego, już dawno byłoby po mnie.

Przed sklepem zdążyła uformować się kilkudziesięciu metrowa kolejka. Wije się, znikając w ciemnej cześci wnętrza, niczym gąsienica. Staję na końcu, przeskakując z nogi na nogę, liczę najpierw do stu, potem tysiąca i znów do stu.

Kilka metrów obok, oparta o ścianę kamienicy, kuca kobieta, obok niej siedzi nie więcej niż trzyletnia dziewczynka z poczerniałą twarzyczką i ogromnymi błękitnymi, wyblakłymi oczami. Jej rączka zamarała w błagalnym geście, paluszki zgięte. Widocznie została posadzona w tej pozie kilka godzin temu. Gdyby w procesie nad ludzka cywilizacją, dowodem był jej wzrok, wyrok niepozostawiający wątpliwości, mógłby być tylko jeden.

Przychodzi moja kolei, wchodzę.

Ladę rozświetla malutki ogarek. Rzuca nań blady krąg światła, przez co mam wrażenie, że białe ręce sprzedającego zamieniają się w gołębie, to rozlatują się znikając, to pojawiają, niosąc bochenki chleba.

Stałbym tak gapiąc się, gdyby nie szturchnięcie kobiety stojącej z tyłu. Daję kartkę, bacznie obserwuję ważenie, biorę odkrojony chleb, wychodzę. To, co niosę, obserwowane jest przez dziesiątki wygłodniałych oczu. Patrzą tak jakby szykując się do ataku. Przyśpieszam kroku, znikając za najbliższym budynkiem. Trzysta gram chleba, dokładnie sto pięćdziesiąt gram dla mnie i tyle samo dla mamy, tyle wynosi dzienna porcja, pracujący mają sto gram więcej.

Przekładam chleb do drugiej reki, tę muszę rozruszać, skostniała, niemalże straciłem w niej czucie.

Z bramy wybiega dwóch nieco starszych ode mnie chłopaków. Jeden wymierza cios, drugi wrywa chleb. Zmysł wzroku rejestruje błysk, przez chwilę nie wiem, co się dzieje.

Leżę na śniegu, przykładam dłoń do nosa, chcąc zatamować krwawienie. Pierdolone skurwysyny, zabrali chleb, całą dzienną porcję żywności.

- Co ja zrobię? – Szepczę, odchylając do tyłu głowę – Co dam do zjedzenia mamie?

Jak mogłem dać się tak zaskoczyć? – Pytam sam siebie. W tym czasie mija mnie kilka osób, pośpiesznie chowających żywność za pazuchy zniszczonych kurtek.

Wracam do domu. Łzy ściekają po policzkach nie dlatego, że ktoś mnie pobił, ale z bezsilności, niemocy.

Niechący potrącam barkiem przechodnia, nie odwracam się, on chyba zresztą też. Nawet nie zauważyłem, kiedy zrobiło się widno. Zerkam na ulicę, mrużąc oczy.

Biel wszechobecnego śniegu odbija promienie słońca, rażąc. Rosnące przy jednej z bram, pokryte śniegiem drzewo zdaje się iskrzyć. Nad głową przelatują dwa czarne ptaki. Lądują na dachu, wlepiają we mnie wielkie, czarne ślepie. Gdybym tylko mógł je dopaść. Nigdy tego nie robiłem, ale... daję słowo, gdybym tylko mógł je pojmać. Drugą stroną ulicy idzie kilkunastu osobowy korowód. Każdy ciągnie za sobą sanki. Jedni wiozą wodę, inni złom, są i nieszczęśnicy odprawiający najbliższych w ostatnia drogę.

Zmarłych nie chowa się na cmentarzu, tylko układa jeden na drugim przed bramami wejściowymi nekropolii.

Nie mają sił zawodzić, a jedynie płaczą, ciągnąc sanie, na których spoczywają owinięte w prześcieradła zwłoki. Wchodzę w bramę bloku, na klatce schodowej mijam sąsiada. Widząc uchylone drzwi jednego z mieszkań, nie mogę powstrzymać się by nie przekroczyć progu.

Słyszę dochodzące z sąsiedniego pokoju hałasy, przyspieszam kroku. Dwóch mężczyzn rąbie krzesła,

trzeci taszczy stół. Przez chwilę koncentrują na mnie wzrok, po czym bez słowa kontynuują zaczęte dzieło zniszczenia. W jednym z pokoi płacze dziecko, słyszę miły kobiecy głos, starający się śpiewem utulić malca do snu. Zwalniam kroku, tak dawno nie słyszałem kołysanki.

Pokonywanie kolejnych stopni biegu schodowego z dnia na dzień jest coraz trudniejsze, szybko dopada mnie zadyszka i zmęczenie w głowie cały czas dźwięczą słowa kołysanki.

- Masz coś? – Wzdrygam się, z rąk wypada klucz.

Natychmiast przykucam, ze złością odpowiadając:

- Nie mam – wstaję, drżącą dłonią wkładając klucz do zamka.

- Chodź – mówi kobieta.

Odwracam się. Niczym zjawa znika w mieszkaniu, przywołując ręką, czuję zapach smażonego mięsa. Nawet nie wiem, kiedy usta wypełnia ślina, ścieka, mocząc poprzecieraną kurtkę.

W pokoju stoi stalowa koza, odchodząca od niej rura, niczym metalowy wąż znika w piecu. Rozgrzana koza pozwala suszyć chleb, pozwala smażyć. Na patelni podskakują rozgrzane krople oleju.

W rogu pomieszczenia siedzi Aleksandra, oskubuje ptaka. Na podłodze leży kilkucentymetrowa warstwa czarnego pierza.

Dostrzegam ślady krwi, prowadzą z jednego końca pokoju w drugi. Z garnka wystaje koci łeb.

Po plecach przebiegają ciarki.

- Masz, jedz – kobieta o szpiczastym nosie, podaje talerz z kawałkiem wysmażonego mięsa.

- Nie – odpowiadam, a następnie chwytam mięso wpychając w całości do ust.

- Uważaj, gorące – Szepcze kobieta.

Nie zwracam na to uwagi.

Tłuszcz ścieka po twarzy, każdy kęs przeciskając się przez gardło, ląduje w żołądku, rozgrzewając go i wypełniając zarazem. W jelitach bulgocze, czuję ich ruchy, niesamowicie przyjemne uczucie. W chwili przełknięcia ostatniego kęsa, przychodzi opamiętanie:

- Nie pomyślałem o mamie, jak mogłem o niej zapomnieć.

W kąciку ust kobiety pojawia się uśmiezek – To dla niej – mówi jakby czytając w myślach.

- Dziękuję – odpowiadam, wybiegając.

Wpadam do domu.

- Jedz, jedz! – Krzyczę od samego progu.

Mama z trudem otwiera oczy, uśmiecha się.

Uśmiech sprawia mi radość, być może widzę go po raz ostatni.

Nie wiem dlaczego tak pomyślałem, nie wiem, po prostu...

Przecieram spływające po policzku łzy.

- Już niedługo się to skończy – Szepczę, chcąc ją pocieszyć.

Mama zjada połowę porcji

– Reszta dla ciebie, jesteś młody. Ty musisz żyć. Jak ja umrę, ty przeżyjesz, jak ty umrzesz to i ja umrę –
Mówi, zamykając oczy

Odstawiam talerz na stolik, może zje później.

Podchodzę do okna. Mróz tak jakby rozpląszczył na szybie swą twarz, przez szpary wdiera się jego lodowaty oddech. Dmucha kilkakrotnie. Wydychane powietrze niknie przegrywając potyczkę z mrozem. Dmucha jeszcze kilkakrotnie, tak po prostu, dla zabawy.

Drę kilka książek, następnie wrzucam je do pieca, ciepła na kilka godzin wystarczy.

Kładę się na materacu, zasypiam.

Otwieram oczy, jest widno, wstaję. Mama jeszcze śpi, upewniam się czy oddycha, zjadam pozostawioną wczoraj porcję mięsa, biorę kartki na dzisiejszy przydział żywności i wychodzę.

Na półpiętrze leżą czyjeś nagie zwłoki, przechodzę obok.

Ze stalowo szarego nieba spadają płatki śniegu, przez chwilę przechodzi myśl by się między nimi przecisnąć, uśmiecham się sam do siebie.

Tym razem otrzymaną porcję chleba od razu wkładam pod połę kurtki, nie dam się drugi raz okraść. Na wszelki wypadek wziąłem z domu nóż. Zabiję, a nie oddam.

Mijam kilka rosnących obok siebie drzew, przy jednym leży zawinięty w prześcieradło trup, w oczy rzuca się wystająca goła stopa z odgiętym na zewnątrz dużym palcem.

Do domu wpadam jak po ogień, zostawiam chleb, biorę sanki i idę po wodę.

Od przerębla dzieli mnie dziesięcioosobowa kolejka. Czekam przeskakując z nogi na nogę.

Przychodzi moja kolej, uwijam się jak w ukropie, spuszczone wiadro, napęlnia się, po czym ile sił wyciągamy je. Nie ma czasu, inni się niecierpliwią.

Opadłem z sił, wracam powolnym krokiem. Mijam kilka opuszczonych budynków, przypominam sobie, że kiedyś był tu sklep z farbami. Wpada mi do głowy pewna myśl, gdybym tak jadł więcej mięsa, mógłbym wybiegać z bram, wrywać chleby. Cztery takie numery dziennie i jest dobrze.

Wchodzę do domu, w rogu przedpokoju zostawiam wiadra z wodą, w progu pokoju zamieram w bezruchu. Ciało mamy wygięte jest w dziwnej pozycji, tak jakby spadła z łóżka i zastygła chcąc ponownie się na nie wdrapać.

Podbiegam, chwytam ją - Mamo, mamusiu, nie, nie!

Ciało jest sztywne, wtulam się w nie, całuję w lodowate czoło. Czas zwalnia, zupełnie tracę jego poczucie.

Zbieram się w sobie, postanawiam owinąć mamę prześcieradłem i zawieść pod bramę cmentarza.

Nie mam siły płakać, przynajmniej ma spokój, nie cierpi, nie męczy się. Te świny powywoziły z miasta wszystkich ważnych, a zarazem niewygodnych dla reżimu ludzi, natomiast nas, mających ojczyznę w sercu, skazali na śmierć głodową.

Mocuję ciało najbliższej osoby do sań. Pragnę, aby ostatnie pożegnanie trwało jak najdłużej, idę dookoła.

Mijam dworzec kolejowy, niegdyś tętniący życiem, obecnie przypomina zaśnieżoną lodową pustynię, ruiny dwóch budynków, których gospodarzami jest hulający wiatr, zerkam na walające się, pocięte metalowe łóżka i w znacznej części spalone, usychające drzewo.

Zostawiam mamę pomiędzy dwoma szczelnie opatulonymi ciałami. Będzie jej cieplej.

- Do zobaczenia, żegnaj – szepczę przez zaciśnięte zęby, kilkakrotnie wciągając powietrze nosem. Odchodzę, chcąc mieć to już za sobą. Im bardziej chcę o tym nie myśleć, tym bardziej wdziera się myśl – Już jej nie ma, nigdy jej nie zobaczysz, nie usłyszysz. Schylam głowę, unikając spojrzeń.

Uświadamiam sobie, że jestem sierotą, nie mam nikogo, pozostałem sam.

Przemykam obok kolejki wydającej się nie mieć końca, prowadzi pod drzwi piekarni. Ktoś się kłóci, ktoś z kimś bije.

Jeden z czekających traci przytomność. Ci z tyłu przechodzą obok, no cóż wypadł z kolejki.

Docieram do domu, ociężałe człapię się po schodach, nagie zwłoki jak leżały tak leżą. Zmieniły tylko pozycje, niechcący zaczepiam butem o stopę trupa.

Czuję głód, myśl o chlebie doprowadza do szaleństwa, świeży, pachnący, taki z chrupiącą skórką. Nic nie może się z nim równać, jest lepszy od słodczy, owoców, mięsa. Czuje jego smak, przemykam powieki, stając w miejscu.

- Chodź – Cichy szept przerywa chwilę zapomnienia.

Jest ciemno, ale od razu rozpoznaję głos sąsiadki.

- Dam ci kartki na chleb, jak mi go jutro przyniesiesz, dam porcję mięsa.

Bez słowa idę za nią w głąb mieszkania. Znów czuję zapach smażeniny, dostaję ślinotoku.

Piekielnie mocne uderzenie niemalże zwała z nóg. Czuję tryskającą z tyłu głowy krew. Zdezorientowany zataczam się. Inkasuje kolejny cios i kolejny, padam.

Z trudem panuję nad samoczynnie zamykającymi się powiekami. Całym nakładem sił walczę o utrzymanie przytomności. Siły odeszły, układ nerwowy nie reaguje na żaden wysyłany z mózgu impuls.

Jak przez mgłę widzę Aleksandrę, oburącz trzyma siekierę, tuż obok stoi jej siostra.

- Przepraszam, jesteśmy za młode by umierać, mamy dopiero trzydzieści lat.

Tracę przytomność.

Siedziba NKWD czerwiec 1945r.

Towarzysz Iliczenko odstawił szklankę z herbatą

- Nie ma to jak czarna, świeżo parzona herbata – Pomyślał.

Otworzył szufladę, wyjmując teczkę wypełnioną raportami.

- Chyba jest – powiedział sam do siebie, kartkując poszczególne strony dokumentacji.

Wyjął jeden z dokumentów, koncentrując na nim uwagę.

Raport zgonów Leningrad grudzień 1941 rok.

1-10 grudzień - 9541

11-20 grudzień - 18447

Łącznie do 25 grudnia - 39073

- Czyli tysiąc pięćset sześćdziesiąt dwie osoby dziennie – Obliczył w pamięci.

Raporty nie uwzględnia śmierci głodowych i aktów kanibalizmu.

Należy szacować, że dziennie w Leningradzie umierało, co najmniej 2000 osób, aktów kanibalizmu dopuściło się dziewięć osób, wszystkie zostały schwytane, osądzone i stracone.

Funkcjonariusz podrapał się po czole.

Należy szacować, najprawdopodobniej – Nie lubił takich stwierdzeń.

- Gdybanie, gdybanie. Skoro raport mówi o nieco ponad 39 tysiącach zgonów, znakiem tego, że tyle było, koniec kropka.

Mężczyzna włożył raport do pozostałych dokumentów, zamknął teczkę, wciskając ją do szuflady.

- Całe szczęście, że mamy Stalina, tylko on uchronił nas przed zwyrodniałym nazizmem, zagrzewając jednocześnie do boju. Gdyby go zabrakło... aż strach pomyśleć – Zdobył się na chwilę refleksji.

Dopił herbatę, na odchodne zamykając z hukiem szufladę biurka.

Koniec

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

G.G, dodano 14.05.2020 12:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.